



Kiedy człowiek wychodzi z człowieka. O czytaniu *Solo* Andrzeja Stasiuka

Znów okazało się, że dobry tekst nie traci na aktualności. Andrzej Stasiuk napisał *Solo* ponad dwie dekady temu. Monodram znalazł się w tomie *Dwie sztuki (telewizyjne) o śmierci* wydanym przez Czarne w 1998 roku. Niegdyś grany w gdańskim Teatrze Wybrzeże (reż. Agnieszka Olsten), w ramach Festiwalu Between.Pomiędzy czyta go sopocki Teatr Boto. Formalnie *Solo* jest monodramem, jednak w festiwalowej aranżacji kwestie bohatera wypowiada duet: aktorka Sylwia Góra i reżyser Adam Nalepa. Wszystko to przy akompaniamencie muzyków: Marcina Dymitera oraz Irka Wojtczaka. Powstała rzecz z pogranicza słuchowiska, teatru i muzyki; oryginalna i warta uwagi.

Główny bohater ma dwadzieścia kilka lat i obsesję na punkcie śmierci. Metafizyczna tajemnica osuwania się w niebyt pociąga go od dzieciństwa, dlatego kolekcjonuje jego obrazy: psa rozjechanego na jezdni, rozkładającego się gołębia, biegającego bez głowy koguta, zarżniętą owcę. Wreszcie ciało babki, która na koniec zrobiła się dziwnie elegancka. Jej martwa ręka przypominała twarde i zimne drewno, a przecież drewno zawsze jest ciepłe. Poza tym śmierć nic nie zmienia. W jej doświadczeniu monologizującego najbardziej interesuje ten sekundowy moment odchodzenia („tylko on jest ciekawy, reszta to lektury nadobowiązkowe”). Nie potrafi go jednak uchwycić, śmierć mu się wymyka. Okazuje się banalna, a świat na nią znieczulony. Jak to, – pyta między wierszami bohater – nie obchodzi was, jak ulatuje dusza? Jest przy tym przekonany, że po śmierci nic nie ma. Odrzuca Boga i inne dające nieuprawnioną nadzieję wytrychy. „Wszystko się nagle kończy. No byle jak. Żyjesz, żyjesz i, ni z tego, ni z owego, kitujesz”.

Stasiuk napisał historię o śmierci i samotności. Jego bohater, martwy za życia, bo przez fiksję na punkcie śmierci z niego wyalienowany, bierze się za bary z własnym istnieniem. Grzebie w dzieciństwie (raczej zwyczajne), wspomina relacje z rodzicami (raczej złe), myśli o papierosach (ciągle). Ma tylko jedną towarzyszkę życia: śmierć, dlatego stara się ją zrozumieć. Tę niegasnącą potrzebę próbuje zaspokoić w końcowej części monodramu, kiedy, raczej z ciekawości niż premedytacji, zabija byłego kumpla. Nawet jako morderca, a więc ten, który śmierć do zabitego przyzywa, nie może jej pojąć. „Znowu przegapiłem moment, kiedy człowiek wychodzi z człowieka” – mówi po tym, kiedy gapił się, również na śmiercionośną zbrodnię, ale popełnianą na ekranie telewizora. Już w więzieniu, podczas odsiadki śni sen, w którym spotyka wszystkich odchodzących na jego oczach. Dopiero wówczas staje ze śmiercią twarzą w twarz, pokonany, bo wciąż niepotrafiący przeniknąć jej istoty.

Choć nie ulega wątpliwości, że świetnie byłoby zobaczyć to na żywo, spędzone przed ekranem niespełna 50 minut wywołuje duże wrażenie. Mariaż słowa i dźwięku otwiera na kolejne odczytania tekstu. Zewnątrz rozbicie monodramu na dwa głosy wydobywa wewnątrz rozbicie bohatera. Powstaje nowa jakość: słysząc dwa głosy jednej przecież postaci, dochodzi do nas dojmująca samotność monologizującego, który nie ma nikogo, gada tylko ze sobą. Napięcie buduje muzyka: niepokojąca, momentami uciążliwa i natrętna, oddająca obsesję śmierci bohatera. Saksofon, flet i klarnet poddane obróbce syntezatora (zwłaszcza słuchane odpowiednio głośno) mają moc wyciągnięcia odbiorcy z domu. Świat dookoła przestaje istnieć. Są tylko *Solo* Stasiuka i pytania:

A pan boi się śmierci? A pani?

Paulina Frankiewicz